№ 25. Warszawa, dnia 7 (19) Czerwca 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

DAWID TENIERS.

PRZEZ

Edwarda Noel i Lucyana Paté.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

(Dalszy ciąg.)

SCENA VI.

Korneli, Teniers.

(Teniers wychodzi z gabinetu, słucha i ogląda się ostrożnie, spostrzega Kornelego, wpada na scenę jak szalony.)

TENIERS.

Ha! rzecz jasna jak słońce!

KORNELI.

Miejże ufność we mnie,
Mistrzu mój, chciej posłuchać.

TENIERS (zanosząc się od płaczu).

Straszliwa to męka!
Nikczemna Izabello!... pierś z bólu mi pęka...

KORNELI.

I ty wierzysz, mój mistrzu?

TENIERS.

Dość żartów, Korneli!
Własnym oczom nie wierzyć? Trudno... oni śmieli
Umawiać się o schadzkę!... pomnę każde słowo,
Mam uszy... Łódź gotowa z flagą purpurową,
Altana po nad Skaldą, w ścianę biją fale,
Nikczemnik będzie czekał u brzegu przy skale,
Skoro w ciszy wieczornej gwiazdy błysną z nieba...
A małoż to dowodów? więcej, niż potrzeba!

KORNELI.

Przerażasz mnie, mój mistrzu.

TENIERS.

Oto dowód nowy,
Ten klucz; on go śmiał wsunąć w rękę mojej
[wdowy!
Zdobyłem go podstępem. Oj! zemszczę się krwawo!

KORNELI (przerażony).

Chcesz się mścić?

TENIERS.

To powinność, mam do tego prawo.
Nie będę miał litości! to zbrodnia przebrzydła!
Zaczem dom opuściłem, zastawili sidła,
A jam się dał uwikłać, roztrzepaniec stary!
Ale miłość zaślepia jejułudne czary,
Tumanią nas i w mózgu zamącą ład wszelki...
Odjechałem, zbyt ufny w słowa zwodzicielki,
Podczas, gdym ja odgrywał rolę nieboszczyka,
Gdym nie śmiał wytknąć głowy z ciemnego ką-
[cika,
Moja żona, zbyt długą żałobą znudzona,
Słucha zalotnych słówek jakiegoś barona,
Mieni mnie zazdrośnikiem, jego miłość dzieli,
Gotowa go poślubić!... O, wierz mi, Korneli,
Wszystkie kobiety razem, istne dyabły z piekła,
Strzeż się, aby ci która w życiu nie dopiekła.

KORNELI (ukazując Henrykę, która wchodzi).
Zaliż i ten szatanek ostre ma pazurki?

TENIERS.

Córka moja!...

SCENA VII.

Ciż sami, Henryka.

(Teniers nacisnął kapelusz na oczy i usunął się na bok.)

KORNELI.

Dlaczego snują się te chmurki
Na twojem gładkiem czole? Uśmiechnij się, droga!

Chwila jeszcze, a minie ta zamieć złowroga,
I słoneczko nam jasno zaświeci po burzy.

HENRYKA.

Co może stać się jutro, któż to dziś wywróży?
Lecz nie żądaj uśmiechu, gdy mnie dławi łkanie!
Póki owe obrazy widzę tu na ścianie,
Myślę, że ojciec w domu, lecz gdy gawiedź chciwa
Rozdrapie drogie skarby, wtedy, ta nić żywa,
Co z duszą ojca mego łączy moją duszę,
Pęknie, i ja rodzinny dom opuścić muszę!...

KORNELI (na stronie).

Gdybym mógł jednem słówkiem ukoić niebogę!...

TENIERS (na stronie).

Chciałbym ją ucałować, i czemuż nie mogę?

HENRYKA.

Opuszczę Antwerpią.

KORNELI.

Co? czyżbyśmy mieli
Rozłączyć się na zawsze?

HENRYKA.

Konieczność nas dzieli.
Twój ojciec zakochany w swym flamandzkim [grodzie,
Zatrzyma cię, nam trudno płynąć przeciw wodzie.

KORNELI.

On gotów do Paryża pospieszyć za nami.

HENRYKA.

Ty szydzisz, a mnie oczy zabiegają łzami.
Twe żarty nie na dobie.

TENIERS (na stronie).

Biedna ty! mój Boże,
Jam łez twoich przyczyną.

(Porusza się z miejsca.)

HENRYKA (spostrzegając go, przerażona).

Ha! któż to być może?

KORNELI (pomieszany).

Zapomniałem ci mówić: z powodu sprzedaży
Przybył ojca przyjaciel.

HENRYKA.

Niedopatrzę twarzy,
Ukrywa się...

KORNELI.

Snać nie chce, by ludzie wiedzieli,
Że tu jest.

HENRYKA.

Jak się zowie? Powiedz mi, Korneli,
Proszę cię.

KORNELI.

To pan Hofman. On ci może znany?

HENRYKA.

Wcale nie.

KORNELI.

Dawną z ojcem przyjaźnią związany...
Ich serca od lat szkolnych łączył węzeł bratni,
Był ojca towarzyszem w podróży ostatniej.

TENIERS (na stronie).

Cóż on mówi niebaczny!

HENRYKA (zbliżając się do Teniersa, który odwraca głowę).

Ah! powiedz mi, panie,
Jest-że jaka nadzieja? Czyż owi poganie
Zabili go doprawdy? Czy był jeszcze żywy
W chwili gdyś go opuścił? Przyjaciel prawdziwy
Nie mógł-że go ratować!?

TENIERS (zmieniając głos).

Czyniłem, co było
W mej mocy, lecz do walki sił mi nie starczyło,
Nie mogłem go wydobyć z ich smoczej paszczęki,
Dwóch nas przeciw dwudziestu, zważ jakie to [męki,
Znieść mi było potrzeba w tej bójce szalonej.

KORNELI (na stronie).

Cóż on mówi?

TENIERS.

Rozdarci jastrzębiemi szpony,
Drogośmy im sprzedali krew z żył naszych zciekłą,
Dawno takich okrucieństw niewidziało piekło:
Posiekli nas, obcięli ręce po ramiona,
Piekli żywcem...

KORNELI (do Henryki, która usunęła się ztrwożona ku niemu).

To waryat.

HENRYKA (z boleścią).

A więc rzecz skończona!..
Słaby promyk nadziei przyświecał mi jeszcze,
I ten zgasł... widmo prawdy staje dziś złowieszcze
Przedemną, rwie się serce, wątek myśli burzy!...

(Placze).

TENIERS (odkrywając głowę).

Dość już! kłamać nie umiem, nie wytrzymam dłu- [żej...

HENRYKA (rzucając się w objęcia ojca).

Ojcze mój!...

TENIERS.

Przebacz, dziecię! wycierpiałaś tyle...

HENRYKA.

Gdy cię mam, ja trosk moich przepomnę za chwilę.

TENIERS (trzymając w objęciach Henrykę i Kornelego).

Dzieci, milczcie na Boga! to rada jedyna.

HENRYKA.

Więc sprawa nieskończona?

TENIERS.

Ledwie się zaczyna.

HENRYKA.

Przestraszasz mnie, doprawdy.

TENIERS.

Wnet się rzecz wyświeci,
Teraz zostaw nas samych...

(Patrząc na oboje.)

Drogie moje dzieci!...

HENRYKA.

Jakżem ja dziś szczęśliwa... Ojcze mój! Korneli!
Co za dzień!

KORNELI.

Serce moje radość twoją dzieli.
Lecz idź ztąd... takiem szczęściem połyska twe [oko —
Zdradziłabyś nas wszystkich.

HENRYKA.

Skryję się głęboko.

(Wybiega w podskokach, Teniers zasłania znowu głowę.)

SCENA VIII.

Teniers, Korneli, Pani Teniers, Samuel.

SAMUEL (do pani Teniers prowadząc dalej rozpoczętą w drodze rozmowę).

Zwracam kwit za sześć płócien; niech mi pani [wierzy,
Więcej nie dam. Lecz wybór ode mnie zależy...

PANI TENIERS.

Jakto? za sześć obrazów wybranych wśród wielu!...

KORNELI (na stronie).

Stary oszust!

PANI TENIERS.

Żartujesz, panie Samuelu.

SAMUEL.

Wcale nie; za te płótna bardzo drogo płacę,
Bo umiem uszanować Teniersa pracę,
On w kilka dni je stworzył, gdy ja z czoła potem
Zbierałem grosz po groszu Jam stratny, wiem [o tem,
Ale rzekło się słowo.

KORNELI (z gniewem).

Idź-że precz, nędzniku!

SAMUEL.

Powoli, mój paniczu! spokojnie, bez krzyku!
Ja gotów iść do sądu, skoro państwo chcecie,
Lecz sprzedaż z wolnej ręki przyzwoitsza przecie.

TENIERS (na stronie z poruszeniem).

Co mówi ten nikczemnik.

KORNELI.

Mistrzu, jak Bóg w niebie,
Zdradzisz się.

PANI TENIERS.

Które płótna pan chcesz wziąć do siebie?

SAMUEL (ukazując).

Naprzód *święty Antoni.*

KORNELI.

Znawca doskonały:
Trzykroć więcej wart obraz, niż twój weksel cały!

SAMUEL.

Nie przesadzaj pan tylko. Rozważmy rzecz ściślej:
Wszak ten anachoreta nie wszystkim do myśli,
Ja chcę go jednak nabyć.

KORNELI.

Mimo tego zwierza?

SAMUEL.

Nic pana nie rozumiem. Chcę też mieć *Szlifierza*
I *Przeprawę przez strumień.*

KORNELI (na stronie).

Ha, złodziej! ladaco!

SAMUEL.

I tych *Graczów w gospodzie.*

KORNELI (szyderczo).

Obrazy źle płacą...
Toż strata oczywista... Dość żartów, do rzeczy!

PANI TENIERS.

Daj pokój, to mnie bawi.

SAMUEL.

Pan mi nie zaprzeczy:
Wszystkie owe postacie, to karykatury
Rażą oko brzydotą. Śmiałże by mistrz który
Malować te biesiady, te chłopskie wesela!...

Inne odtwarzał wzory pędzel Rafaela.
Gdyby Teniers żył jeszcze, któż-by te obrazy
Chciał wywłóczyć z pracowni? Śmierć zaciera [skazy,
On umarł w samą porę. Niechby wrócił z trumny,
Zobaczyłby ten malarz z pędzla swego dumny,
Coby sprzedaż przyniosła.

TENIERS (zbliżając się, zmienionym głosem).

Myślisz pan?

SAMUEL.

Wiem o tem,
Nikt-by takich bazgranin nie opłacał złotem.

PANI TENIERS (spostrzegając męża, na stronie).

On tu?

SAMUEL (do Kornelego).

Któż jest ten człowiek?

KORNELI.

To kupiec z Gandawy.

TENIERS (do Samuela).

Mylisz się pan, śmierć tylko podnosi blask sławy,
Wieńca na pospolite nie uwije czoło;
Kto gryzmolił za życia, ten będzie gryzmołą,
Choćby umarł sto razy. Ale gdy mistrz skona,
Wtedy ze źrenic ludzkich spadnie ta zasłona,
Którą zawiść nikczemna oczy tłumom ślepi;
Ludzie patrzą na dzieła i cenią je lepiej,
I ci, co się nad żywym pastwili przed chwilą,
Unoszą się nad zmarłym i głowę pochylą;
Zbluzganego potwarzą postawią na szczycie.
Patrzcie na te obrazy, jakie drga w nich życie,
Jaka tu szczera prawda, jak miła prostota,
Kto z życia powszedniego cudnie nić wymota?
Czy radzi, czy nie radzi, wszyscy przyznać muszą,
Że mistrz ze swoim ludem zrósł się całą duszą.

PANI TENIERS.

Pan mu nazbyt pochlebiasz.

TENIERS (na stronie).

Ha, ta nikczemnica!

SAMUEL.

Mój panie, żaden kupiec tak się niezachwyca.

TENIERS (na stronie).

Mało żem się nie zdradził, gdy stoję u mety.

(W końcu sceny schodzi się publiczność. Amatorowie stają przed obrazami, napełniają galeryę na lewo. Obraz ożywiony. Tymczasem woźny zajmuje miejsce na pierwszym planie, odbiera polecenia.)

SCENA IX.

Ciż sami, Van Beverning (wchodzi z Baronem, trzyma dziennik w ręku).

VAN BEVERNING.

Panowie, proszę słuchać Antwerpskiej gazety.

(Czyta.)

Teniers pozostanie na zawsze chwałą kraju swego. Żaden malarz nie oddał z taką prawdą scen ludowych, jakie mistrz ten odtworzył na płótnie. Pasmo tych znakomitych prac przerwała śmierć przedwczesna. Do nas to współrodaków zmarłego należy podnieść wysoko jego chwałę, która jest chwałą naszą i puściną osieroconej rodziny.
Taki jest głos powszechny, wyrażon w gazecie,
Ja całkiem go podzielam.

TENIERS.

We flamandzkim świecie
Pan burmistrz miłośnikiem sztuk pięknych uznany.

VAN BEVERNING.

Nie przeczę.

TENIERS.

Jakiż powód tej nagłej przemiany?
Pan niegdyś Teniersem pogardzał i zaczem
Do trumny się położył, nazwał go bazgraczem.

VAN BEVERNING.

Czyniłem, jak nas uczą długich wieków dzieje:
Chwała wielkiego mistrza nieprędzej jaśnieje,
Aż gdy całun śmiertelny spadnie mu na oczy.

BARON.

Jak wspaniale burmistrza dzwoni głos proroczy,
Jego zdanie wyrokiem. Nie miejmy obawy.

(Do pani Teniers, ukazując Teniersa.)

Kto ten człowiek?

PANI TENIERS.

Jak mówią, to kupiec z Gandawy;
Cała postać dziwaczna, sam nie wie, co plecie.

VAN BEVERNING (do syna).

A, jesteś tu, Korneli? Ciesz się, moje dziecię,
Z głowy mistrza na ucznia spaść musi blask [chwały,
Że uczeń synem moim, więc promyczek mały
Spadnie na mnie. Wszak prawda?

BARON.

Zaprzeczyć nie mogę.

VAN BEVERNING.

Jakżem rad, że syn obrał na przyszłość tę drogę,
Dojdzie nią...

BARON.

Może póżno...

VAN BEVERNING.

Sztuka duszę budzi,
Daje szczęście prawdziwe.

BARON.

Uszlachetnia ludzi.

VAN BEVERNING.

Zawsze go popychałem, nietajno nikomu.

KORNELI (na stronie).

Kiedym chwytał za pędzel, uciekałem z domu.

VAN BEVERNING (do pani Teniers).

Czy wszystko tu?

PANI TENIERS (ukazując galeryą).

Nie, panie. Tam pokryte ściany
Płótnami.

VAN BEVERNING (z zachwytem komicznym).

Jaka twórczość, geniusz niesłychany!...

(Ogląda obrazy z Baronem.)

SAMUEL (zbliżając się do Teniersa, cicho).

Jedno słowo: pan ze mną niech się naprzód zniesie.

TENIERS.

Słucham.

(Na stronie.)

Raczej z wilkami szczekać w głuchym lesie.

SAMUEL.

Pan masz zamiar kupować?

TENIERS.

Mam zamiar, jak drudzy.

SAMUEL.

Aj, aj! któż to przed kupnem chwali towar cudzy!

TENIERS.

Nie byłem panem siebie pod wpływem tych cza- [rów.

SAMUEL.

Straciłem z łaski pana z jakie sto talarów.
Mieć język za zębami oto abecadło
W naszem twardem rzemiośle...

TENIERS.

Słowo z ust wypadło...

SAMUEL.

Potrzeba rzecz naprawić.

TENIERS.

Poszukam sposobu.

SAMUEL.

Wszak tu zarówno idzie o interes obu;
Niech ręka rękę myje, a przy nas wygrana:
Nie pędź mnie pan, ja także nie chcę pędzić pana.
Rzekłem.

TENIERS.

Hum...

SAMUEL.

Cóż pan na to?

TENIERS.

Hum...

SAMUEL.

Wahasz się może?

TENIERS.

Ha, tak...

SAMUEL.

Proszę posłuchać, krótko rzecz przełożę,
Oddawna mi na oku ten święty Antoni;
Dziesięć tysięcy złotych przyrzekłem, lecz oni
Chcą więcej; proszę bardzo nie przechwalać mni- [cha,
Mów pan, że to brzydota, bazgranina licha,
Że nie wart i tysiąca, powtarzaj z naciskiem,
Ja za to przez połowę podzielę się zyskiem,
Moja uczciwość z dawna w całem mieście znana.

TENIERS.

Wiem, wiem...

(Na stronie).

Oszust przebrzydły.

SAMUEL.

To gratka dla pana;
Wspieraj mnie, a otrzymasz nagrodę sowitą.

TENIERS (na stronie).

Tak, możesz na mnie liczyć, nikczemny bandyto!

(Przez ten czas pani Teniers ukazała Beverningowi różne płótna. Osoby przechadzają się po scenie. Kiedy pani Teniers znikła z burmistrzem w galeryi na lewo, Baron zbliża się do Teniersa.)

BARON.

Jedno słówko...

TENIERS.

Czy do mnie?

(Na stronie.)

Co chce? istne dziwy!

(*Dokończenie nastąpi.*)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— Dzierlatko! — rzekł Maciek — nie psuj swej sprawy. Zawżdyć to lepiej pokorą jak dumą i oporem. Powiedz co wiesz, a włos ci z głowy nie spadnie.

— Czego chcecie ode mnie? com wam winna?— pytała Jagusia.

— Powiedz, gdzie jest Mora? — wrzeszczał Weychard.

— Nie wiem! zkąd mam wiedzieć? nic nie wiem! Na rany Chrystusa Pana! dajcie mi pokój! — błagała dziewczyna.

W tejże chwili wszedł do namiotu młody Szwed, a za nim owinięty w karmazynową opończę mąż z dwoma pachołkami. Ci wnieśli wielki kocioł żelazny, drwa i szczypce. W milczeniu stanęli podle wejścia i ze spokojem, jakby to szło o rzecz najzwyklejszą, poczęli składać na ziemi on kocioł, drwa i szczypce. Przerażenie Jagusi na widok tego wszystkiego, doszło do najwyższego stopnia. Rzuciła na ziemię gołą szablę i przypadła do nóg młodego Szweda, szlochając i prosząc:

— Ratuj mnie, panie! Miej litość nade mną! Męczyć mnie chcą. Najświętsza Panno Częstochowska, zmiłuj się nademną!

W twarzy Szweda ukazał się lekki, ledwie dostrzedz dający się wyraz współczucia i żalu. Schylił się, podniósł klęczącą dziewczynę i coś jej prawić począł po szwedzku. Ale Weychard skoczył i spytał:

— Gadasz, gdzie jest Mora?

— Nie wiem! na miłosierdzie Bozkie, nie męczcie mnie!

— Kacie! — zawołał Weychard — czyń swoją powinność.

Mąż w czerwonej opończy skinął na swych pachołków. Ci wraz z Maćkiem rzucili się na dziewczynę, w jednej chwili zdarli z niej burkę, przewrócili ją na ziemię i związali. Jagusia krzyczała w niebogłosy:

— Ludzie ratujcie! Kto ma Boga w sercu niech mnie ratuje. Miłosierdzia i łaski! łaski!

Ściągali już jej buty z maleńkich nóżek, a jeden rozpalał pod kotłem drwa i dmuchał na ogień jak miech. Miller popijając piwo, uśmiechał się okrutnie i nie spuszczał ani na chwilę swego mętnego wzroku z szamoczącej się w rozpaczliwym wysiłku dziewczyny.

Nad związaną, leżącą na kobiercu z obnażonemi białemi i maleńkiemi jak u kopciuszka nogami, stanął Weychard i pytał:

— Powiesz gdzie jest Mora ze swą bandą?

Zawahała się przez chwilę, milcząc patrzała na suchą, kościstą twarz Weycharda, pokrytą teraz siną jakąś barwą. Uśmiechał się, szczerząc czarne zęby i straszliwie marszczył swe ciemne, gęste brwi. Krzepiła się jak mogła. Przez myśl przebiegło jej całe niebezpieczeństwo jakie grozi partyi Mory, jeśli powie to czego od niej żądają. Przypomniała sobie, że Mora chce nocą napaść na Szwedów, jeźli więc tych ostatnich o tem uprzedzi, co się wtedy stanie? Wszyscy polegną, zginą, dostaną się w straszne ręce Szwedów. Bartek wyjęty z pod praw, zawiśnie na szubienicy. O! Bartku czemużeś ją opuścił? Już postanowiła nic nie mówić, wytrzymać wszystko, gdy nagle obok niej stanął jeden z pachołków katowskich, dzierżąc w ręku rozpalone do czerwoności szczypce. Pachołek ten starannie jak mnich wygolony, miał dziwnie obojętną i spokojną twarz. Stał z dymiącemi się szczypcami w rękach, spoglądając na przerażoną i rzucającą się konwulsyjnie Jagusię.

— Powiem, wszystko powiem! — wołała przestraszona dziewczyna — tylko mnie nie męczcie.

— Spodziewałem się tego! — syknął Weychard ze zjadliwym uśmiechem — gadaj, gdzie jest banda Mory?

— Niedaleko ztąd, w lesie, na drodze do Kłobucka.

— Aha! i dużo ich jest?

— Nie, nie dużo, ze stu ludzi.

— Co myślą czynić!

— Nie wiem! zkądże mam o tem wiedzieć? to jeno starszyzna wie.

Tłomaczenie wydało się bardzo prawdopodobnem, więc Weychard zamilkł, obrócił się do Millera i coś mu szwargotał. Miller na to porwał się i krzyknął strasznym głosem:

— Donnerwetter! — i coś począł rozkazywać młodemu Szwedowi, który zaraz wybiegł. Sam wódz skoczył w kąt i przypasywał szablę, klnąc głośno po szwedzku.

Tymczasem Weychard pytał się dalej Jagusi:

— Któż jest między starszyzną w bandzie?...

— Mora, Lniski, Boruta...

— Lniski? co to za Lniski?...

— Czy ja wiem!

Znowu Weychard począł mówić do sapiącego głośno Millera, powtarzając często nazwisko Lniskiego. Ten mu odpowiadał, coś się posprzeczali, w końcu Weychard machnął ręką i rzekł do kata:

— Puśćcie ją i zaprowadźcie do kordegardy.

Jagusia, uwolniona z więzów, wstała, jakby się drugi raz na świat narodziła. Odetchnęła z głębi piersi. Czuła się dziwnie lekką i szczęśliwą, gdy ujrzała się swobodną, gdy pachołek z rozpalonem żelazem cofnął się do kotła i mrucząc coś pod nosem, cisnął w kocioł szczypce.

— Słuchajno acpanna — rzekł do Jagusi Weychard — puszczam cię teraz, ale jeżeliś skłamała i zdradziła nas, jakem Jan Weychard z Wrzeszczewic, pójdziesz na stryczek. Czy dobrze oni złoczyńcy są uzbrojeni?

— Chłopi w kosy, a jazda w szable. Harmaty też mają.

— Harmaty? a zkąd?

— Z Dankowa podobno, o ile słyszałam.

— Dużo mają harmat?

— Dwie czy trzy, nie wiem dobrze.

— Odprowadzić ją do kordegardy i strzedz pilnie.

Pachołkowie wywiedli Jagusię i oddali ją czekającym przy namiocie żołnierzom. Idąc przez obóz szwedzki, spostrzegła w nim Jagusia niezwykły ruch. Trąbiono przez musztuk i żołnierze się zbroili. Koło niej kłusem przebiegło kilkunastu konnych. Ognie gaszono i ustawiano się w szeregi. Żołnierze, którzy ją wiedli, szwargotali coś między sobą. Idąc tak i patrząc na wszystko, czuła Jagusia, jak jej się serce ściska. To jej słowa, jej brak energii, jej głupi przestrach, uprzedził Szwedów. Teraz są przygotowani, może sami napadną na Morę. Co się stanie! Bartek zginie, wszystkich wytną, połapią i powywieszają! Włosy jej na tę myśl na głowie powstały. A właśnie przechodziła brzegiem wzgórza, na skraju którego wznosiły się trzy czarne szubienice, a na nich wiatr chwiał trzema trupami i gromady wron siadały na ramionach szubienic, kracząc głośno i złowieszczo.

XVIII.

Kordegarda, w której zamknięto Jagusię, mieściła się w dużym, drewnianym, na pół zwalonym domu. Żołnierze szwedzcy rozbierali dach i ściany na ogniska, bo drew w pobliżu nie było, a noce zimowe były ostre, więc też dom walił się a przez obdarte z gontów krokwie, ciekło na powałę i do izb. Tych ostatnich było kilka i stała tam straż z obersztarem, pilnując więźniów. W jednej z izdebek onych zamknięto Jagusię. Była to pustka, choć ciepła, bo w ogromnym piecu, zajmującym jeden kąt, zapalono. Przez pułap co prawda ciekło i woda nawet z roztopionego śniegu stała kałużą na wydeptanej i wydartej do połowy podłodze. Ściany, niegdyś bielone, dziś świeciły czarnemi łysinami, obryzgane były błotem i żołdacy szwedzcy porysowali tu węglem różne sprośne figury. Jedno maleńkie okienko, zabite było szczelnie deską. W samej izbie nie było nic, okrom pryczy z desek, a na niej garści brudnej i skołtunionej słomy. U pułapu wisiał na drucie pogiętym kaganiec, który kopcił nieznośnie, skwierczał szkaradnie i słabo oświetlał izbę, po której tlukły się po kątach wielkie cienie.

Jagusia, wszedłszy tu, obejrzała się dokoła i zmęczona wszystkiem tem co przeszła w dniu dzisiejszym, głodna trochę i smutna, otuliła się w swą opończę, nadziała kaptur na głowę i siadła sobie na pryczy podle pieca. W izbie było cicho, jeno świerszcz świerkał gdzieś w piecu, jeno uśmiechy grube straży z za ściany dochodziły, a ze dworu tentent koni, krzyki, rozkazy i wrzawa obozowego życia. Pogrążona w myślach, wstrząśnięta do głębi widokiem ponurych wisielców, których widziała na swej drodze, siedziała nieruchoma, targana rozpaczą i żalem. Ciągle jeno o Bartku myślała.

— Wydałam go na jatki, ja, zdrajczyni! Szwedzi na nich napadną, wytną do nogi, pobiorą do niewoli i powywieszają. O! słychać jak się zbroją, jak siadają na koń. O mój Boże! mój Boże! co ja nieszczęśliwa uczyniła!...

Zakryła rączkami twarzyczkę i głośno szlochała. Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i poczęła chodzić po izbie, ale bała się, sama nie wiedziała czego, żeby straż nie usłyszała jej chodu, brzęku jej ostróg. Stąpała więc na palcach, starając się zachować jak najciszej, od pieca do okienka i od okienka do pieca. Ale znużyła się tem prędko. Całodzienny marsz po lasach, szalona ucieczka z obozu, przestrach, jakiego doznała w namiocie Millera, szereg wzruszeń, wszystko to zmęczyło dziewczynę niesłychanie. Przypomniała sobie grożące jej męki. Twarzy pachołka katowskiego, dzierżącego w ręku rozpalone szczypce, nie zapomni nigdy w życiu.

Usiadła znów pod piecem. Piec był ciepły i ciepło to mile działało na zziębniętą dziewczynę. Myślała o Bartku i modliła się do Maryi Panny Częstochowskiej, by mu uratowała życie. Potem wszystko jej plątać się poczęło w głowie. Dobiegała ją jeszcze wrzawa obozowa, śmiechy straży, głos świerszcza, monotonnie nucącego swą śpiewkę, krakanie kruków z poblizkich szubienic, wszystkie te głosy mięszały się w jej głowie, mąciły, splata-

ły ze sobą. Wkrótce nie potrafiła już nic rozróżnić, główka jej opadła na piersi i zasnęła snem twardym, kamiennym snem znużonej młodości.

Sny miała bardzo przykre. Śnił jej się olbrzymi, kołtunowaty chłop w lesie, że ją ściga a ona uciec nie może, bo jej coś nogi spętało, śnił jej się opasły Miller, jastrzębia twarz Weycharda, zimna, czerwona, ospowata gęba katowskiego sługi, wszystko to plątało się ze sobą w jakieś dziwne, niebywałe historye, dręczyło ją, niepokoiło. Jęczała głośno, budziła się prawie co chwila, by znowu zasnąć, nowym twardym snem.

W chwilach takiego nagłego przebudzenia się, rzucała dokoła niepewnym wzrokiem i widziała wszystko koło siebie w porządku. Kaganiec skwierczący szkaradnie, wisiał u pułapu zatknięty za drut i oświetlał słabym, migotliwym blaskiem całą izbę. Wrzawa obozowa ustała, jeno wciąż za ścianą żołnierze się śmiali, wicher jęczał po kominie i dachu dziurawym i kruki krakały złowieszcze. Świerszcz cichł, cichł, by znów świerkać przez chwilę.

Wszystko to Jagusia, budząc się na jeden moment, widziała i słyszała i nie uważając w niczem zmiany, zasypiała znowu. Ale raz obudziła ją niezwykła cisza. Otworzyła oczy i rozejrzawszy się po izbie, pustej jak zwykle, wstała na równe nogi, bo przeraziła ją niezwykła cisza. Z obozu nie dochodził do jej uszów żaden ruch, żaden głos nieomal. Zdawało się, jakoby wszyscy się tam pospali, że czarownica bajeczna sen-ziele rozsypała na szwedzkie obozowisko. Pospali się widać także żołnierze, będący na straży w sąsiedniej izbie, bo nie słychać było ich dzikich śmiechów, ich gwarnej, głośnej rozmowy i brzęku kufli czy kości rzucanych na miedziane jakieś naczynie. Nawet wicher przestał jęczeć i piszczeć w kominie, świerszcz zasnął wraz z drugimi, kaganiec dopalając się, przestał skwierczeć. Od czasu do czasu tylko kruki zakrakały gromadnie i znowu zamilkły. Ta cisza, niczem nie zamącona w tej ponurej samotności, w tej izbie takiej smutnej, takiej obdartej, tak słabo oświetlonej i pełnej mrocznych cieni, przeraziła Jagusię. Przytuliła się do pieca i patrzała, ażali z czarności kątów nie wyjdzie do niej duch Bartka, zamordowanego przez Szwedów. Dreszcz śmiertelny ją ogarniał. Krakanie kruków, zrywających się widać gromadnie i znów opadających na żer, którym nic innego być nie mogło, jeno trupy trzech wisielców, wpadało z nienacka w ciszę izby, jak grom jakiś złowieszczy. Noc musiała być już późna, gdyż kaganiec, pełny w chwili, gdy tu weszła dziewczyna, teraz dopalał się już i chwiał się szkaradnie i gasł na chwilę, by znów żywszem błysnąć blaskiem. Od tego migotania światła drżało wszystko w izbie, jak gdyby życiem było obdarzone. Cienie więc włóczyły się, przeciągały, ogarniały sobą nagle pół izby, by znów uciekać do kątów przed nagle rozwidniającem się światłem kagańca. Jagusię zdjęła wielka obawa, by kaganiec ten nie zgasł zupełnie i nie zostawił jej w ciemnościach w tej pustej, pełnej widm i ciszy izbie. Ale na to nie było już rady, nie było czem podsycić gasnącego światła.

Siedziała więc na tapczanie, drżąc z obawy, gdy nagle zdało jej się, że słyszy ledwie dający się rozpoznać szmer od strony zewnętrznej pod ścianą, w której było umieszczone okienko. Wydawało się to tak, jak gdyby ktoś niezmiernie wolno i ostrożnie przesuwał się tuż pod ścianą, trąc suknią o belki. Ten tajemniczy szmer wywarł niewypowiedziane wrażenie na Jagusię. Zerwała się na równe nogi i poczęła nadsłuchiwać, ale szmer nagle ustał i niezamącona cisza zaległa dokoła.

Słuchała tak jakiś czas, ale gdy wciąż było cicho, zimny rozsądek wziął górę w umyśle dziewczyny. Rzekła sobie, że jej się zdawało, usiadła na tapczanie, wsparła główkę o piec i znów zasnęła.

Jak długo spała nie wiedziała. Miała bardzo przykre sny. Marzyło jej się, że znajduje się pod szubienicami, które, przechodząc do kordegardy, widziała, że gromada kruków, spostrzegłszy ją, porzuciła martwe ciało wisielców i rzuciła się na nią. Okrążyło ją dokoła to ptastwo, unosiło się nad nią kracząc i łopocząc w swe wielkie czarne skrzydła. Czuła najwyraźniej zimny powiew powietrza, poruszanego przez te skrzydła. Chciała uciec a nie mogła. W straszliwym wysiłku woli, oblana potem, szarpnęła się, stanęła na równe nogi i obudziła się.

Kaganiec już dogasał zupełnie, rzucając niepewne, migotliwe, drżące blaski. W izbie istotnie czuć było świeże, mroźne powietrze. Przez okienko, z którego deska, zakrywająca je była oderwana, widać było blady pas nieba na wschodzie. Widocznie robił się świt zimowy, cichy, smutny i melancholijny.

Jeszcze sobie Jagusia sprawy zdać z tego nie mogła, kto otworzył okienko, gdy w niem, na bladym pasie nieba zarysowała się ciemna głowa ludzka. Spięła się ona, wchyliła do izby i głos się ozwał wyraźny, choć szepczący i przytłumiony:

— Kto tu siedzi! Polak czy nie?

— Ja siedzę! — odpowiedziała Jagusia.

— Czy nie białogłowa, którą wczoraj schwytano w obozie szwedzkim?

— Tak.

— To dobrze! — ozwał się głos i głowa zniknęła.

Zaraz potem Jagusia usłyszała szelest przysuwanego pod okno jakiegoś ciężkiego sprzętu, postać owa pojawiła się, zakryła sobą okno, spuściła w nie nogi i w mig stanęła w izbie. Nie mówiąc nic, zasunęła najprzód deskę na okno i zrobiwszy to, zwróciła się do zdumionej tem wszystkiem i nic jeszcze nie pojmującej Jagusi.

Była to kobieta ubrana w ciemną spodnicę i taką chustkę. Głowę miała odkrytą i wiatr, czy też przedzieranie się przez wązkie stosunkowo okienko, rozburzyło jej włosy, które nastroszyły się i chwiały za każdym ruchem kobiety. Twarzy w ciemnościach panujących w izbie, Jagusia rozpoznać nie mogła; widziała tylko dwoje oczów, w których gasnące światło kagańca przeglądało się jak w zwierciadle.

— Ty się mnie nie bój — szeptała owa kobieta — i bądź cicho. Przyszłam cię ratować, bo inaczej, to cię rano Szwedy obwieszą. Ja nazywam się Kostusia, ale muszę sobie odpocząć. Stara już jestem i zmęczyłam się.

Usiadła sobie na tapczanie, przygładziła włosy i swym bystrym, przenikliwym wzrokiem spoglądała na Jagusię.

— Trudno się tu dostać, Szwedy pilnują, tom się też zmęczyła — mówiła Kostusia — ja tu siedzę i mieszkam sobie w szczelinie skały przy wałach klasztornych i Najświętsza Panienka mnie strzeże. Zbieram kule, drwa, co się da i noszę księdzu Przeorowi. Ja się Szwedów nie boję, a co mi zrobią? Najświętsza Panna Częstochowska mocniejsza od nich. Jak wyjdziemy ztąd, to tę chałupę podpalimy, żeby już nie mieli gdzie ludzi więzić. Bogdaj ich morowe powietrze wybiło, bodaj ich święta ziemia nie nosiła!...

Zerwała się z tapczana i przybiegając do Jagusi, wlepiła w nią swe duże, na pół obłąkane czarne oczy i spytała:

— Ktoś ty?

— Ja... jestem Jagusia z Wąsosza?

— Z Wąsosza? panienka z Wąsosza? Patrzajcie! a cóż ty tu robisz, mój robaczku? Szwedy są okrutniki, heretyki, poganie, nic nie uszanują, nawet czci niewieściej... Wczoraj to ci dziewuchę złapali w starej Częstochowie i straszne zbytki z nią wyprawiali. Jagusia? Po coś ty tu przyszła? Opowiedz wszystko jako było, jeno mi nie łżyj bo ja prawdy dojdę. Mnie Najświętsza Panienka dała taką moc...

Zakręciła się nagle, siadła na tapczanie i chwytając się oburącz za głowę, jakby lękała się, żeby nie pękła, poczęła nucić drżącym, cichym i dziwnie załośliwym głosem pieśń następującą:

Co się stało przed laty, człowiek jeden bogaty,
Z złota, srebra, miał szaty.
Jadł, pił tylko, tańcował, dzień i noc bankietował,
Pychę w sercu swem chował.
Jak pan siedział w pokoju, miał dość potraw napoju,
Nie pomniał, że brat w gnoju.
Widząc, że był w ucisku, potraw mu na półmisku,
Także ani z piwnice, trunku ani szklenice,
Nie wysłał na ulicę.
Pan się w krześle rozpiera, z potraw usta ociera,
Łazarz z głodu przymiera.
Bogacz wiwat wykrzyka, dzień i noc gra muzyka,
Łazarz swe łzy połyka.

Melancholijna nuta tej pieśni w ustach Kostusi przybierała ton wiatru szemrzącego między liśćmi. Baba byłaby Bóg wie jak długo śpiewała, gdy śpiąca za ścianą straż poruszyła się, jeden zakaszlał głośno. Kostusia więc ucichła nagle, przyłożyła palec do ust i słuchała. Gdy jednak znowu poprzednia cisza zaległa, poczęła mówić:

— Teraz gadaj, zkądeś się tu wzięła?

Jagusia nie ukrywając nic, opowiedziała wszystko jak najdokładniej, jak partya Mory napadła Szwedów, jak puściła się za nimi w pogoń, jak ona, Jagusia, została sama z chłopami, jak ci pobili się przy obdzieraniu trupów, jak przestraszyła się kołtunowatego chłopa i t. d. Baba, podparłszy brodę na ręce, słuchała tego wszystkiego w milczeniu, ale gdy Jagusia przyszła do opowiadania o grożących jej mękach i o Weychardzie, podniosła swą suchą, kościstą rękę do góry i syknęła:

— Bodaj go trąd zjadł, bodaj mu za życia ciało od kości odpadało!

W ogóle opowiadanie Jagusi wielkie wywarło na starą Konstancyę wrażenie... Wstała z tapczana, załamała ręce i mówiła:

— Stało się wielkie nieszczęście i nikt już nie cofnie go, jak nie można cofnąć czasu. Jedna Najświętsza Panienka Częstochowska, może tu tylko poradzić. Widziałam ich, tak, widziałam Szwedów, jak poszli na partyę pana Żwana i pana Lniskiego. Widziałam ich, dwieście rajtarów z gwardyi królewskiej, piękny lud, choć heretyki paskudne. Weychard, hrabia z Wrzeszczowic, bodaj go święta ziemia pochłonęła, powiódł ich. Wzięli ze sobą cztery harmaty. Wybiją wszystko do nogi, stratują kopytami koni. A tyś ich zdradziła! Ale stało się. Gdzie drwa rąbią, tam wiory lecą. Przez krew i przez trupy jeno ojczyznę i Najświętszą Panienkę z opresyi heretyckiej wyratować można. Stało się!

Zakryła twarz swemi czarnemi, suchemi rękami i przez chwilę tak stała, nieruchoma, jakby skamieniała. Właśnie kaganiec zajaśniał niezwykłym blaskiem, zaskwierczał rozgłośnie i zgasł. W izbie zrobiło się ciemno jak w grobie. Przez chwilę panowało głębokie milczenie, poczem przerwał je znów melancholijny śpiew Konstancyi:

Z tak mizernej pościeli, Łazarza w niebo wzięli,
Święci Pańscy Anieli.
Posadzili na tronie, na Abrahamowem łonie,
W szczęśliwości koronie.

Tak śpiewając, chwyciła rękę Jagusi i pociągnęła ją mocno ku oknu.

— Chodź! chodź! — szeptała — czas już wielki!

Przywiodła ją do okienka i rzekła:

— Oderwij deskę ja chałupę podpalę...

Wyjęła z zanadrza pęk pakuł, nasyconych smołą i żywicą, krzesiwko i skrzesała ognia. Pakuły, gdy padła na nie iskra, w jednej chwili się zajęły. Gorejące takie zarzewie rzuciła pod tapczan, obłożyła słomą i pobiegła do Jagusi.

— Wyłaź oknem! — rzekła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiersz Cyganki.

Codzień się modlę u tej figury,
Codzień się modlę w blaskach miesiąca;
Zdala widnieją pałacu mury,
Nade mną szumi wierzba płacząca.

W łące przepiórka wabi zbłąkana,
Pszenica chwieje swe złote kłosy,
Wonnem wieczoru tchnieniem owiana
Stoi konwalia w perełkach rosy.

Głucho śpią w puszczy leśne krzewiny,
Wysokie dęby, białe brzeziny;
Spokój i cisza wszędy dokoła,
Ja się do Stróża modlę Anioła.

W pałacu widno niby w kościele,
Na salach grają huczne kapele,
Ta piękna pani w jedwabiach, złocie,
Ona mi wzięła mego kochanka,
Ona zabrała szczęście sierocie,
Cóż ci zrobiła biedna cyganka?

Kręta rzeczułka płynie po lesie,
Zwiędnięty kwiatek na falach niesie;
Miesiąc się kąpie w ciemnej głębinie,
Srebrną jasnością na wodzie pali,
Ale już zwiędły kwiatek nie płynie,
On pewnie znalazł grób pośród fali.

Maryla Głowacka.

TEATR ROSSYJSKI W WARSZAWIE.

Komedya pięcioaktowa napisana przez N. J. Sołowiewa p. t. *Małżeństwo Bieługina*, wzięta z życia sfery kupieckiej, przypomina w treści jak i w przeprowadzeniu całej akcyi, znany dramat p. t. *Właściciel kuźnic* Ohneta, ale nie jest jego naśladownictwem bo komedya to już przed laty piętnastu była grywaną na scenie petersburgskiej. Tak samo jak w dziele autora francuzkiego, bogaty fabrykant ożeniony z ubogą lecz arystokratycznego rodu dziewicą, nie może w niej obudzić miłości oznakami swego przywiązania bez granic, a dopiero zimna obojętność względem ukochanej żony i pozostawienie jej zupełnej swobody działania, obudza w jej sercu szacunek i miłość do męża, tak samo i w komedyi Sołowiewa, rozwiązanie sztuki z tych samych wypływa czynników.

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Obecnie Warszawa głównie jest zajęta: Wystawą rolniczą, wełnianym jarmarkiem, wyścigami, a i w znacznej części cyrkiem Salamońskiego.

Wystawa zaleca się wielkim ruchem, jarmark zabiegliwością stron układających się, cyrk natłokiem publiczności a wyścigi brakiem wstrząsających nerwy wypadków, bo dopiero jeden obojczyk złamano i parę zębów wybito. Za granicą inaczej się dzieje, tam trup a przynajmniej wieczne kalectwo, prawie zawsze jest plonem tego „współzawodnictwa nóg końskich.

U nas troszkę wstrzemięźliwiej zachowują się pod tym względem, dlatego dziwić się należy, że nasi panowie wyścigowcy, sprowadzając wszystko z zagranicy, jeszcze nie zapisują dotąd ochotników gotowych do łamania karków na torze wyścigów warszawskich.

Jest jednak nadzieja, że i w tem zajdzie pożądana zmiana, i kto wie czy w pomysłowości wyścigowej nie przewyższymi nawet Anglików słynnych z fantastycznych swoich pomysłów. Przebąkują bowiem o mogącym się urządzić wyścigu amazonek tutejszych, co koniecznie wywołać musi wysadzenie z siodeł niejednej pędzącej damy. Następstwa z tego łatwe do przewidzenia, czy zaś projekt urzeczywistni się. niewiadomo; powstał on zapewne w fantazyi promotorek przy papierosie i pienistym szampanie, z czem salony nasze nie mają żadnej styczności.

Podczas ostatnich wyścigów. w Vincennes, upadł ogier „Margot" a z nim dżokej Turmbul, który zabił się na miejscu. Kilka dam zaczęło klaskać wołając radośnie: „Dzięki Bogu, że ten dziarski rumak ocalał". Słowa te tak oburzyły w najwyższym stopniu tłum robotników, że byłoby niezawodnie przyszło do krwawej sceny, gdyby nie przytomność sekretarza klubu, który w tejże chwili zawołał głośno:

— Turmbul pozostawił żonę i troje dzieci... — i nadstawił kapelusz.

Bezduszne damy rzuciły ofiarę, za niemi poszli i inni i w momencie zebrano poważną sumkę. To uspokoiło nieco tłum, który poprzestał już tylko na dosadnem i głośnem łajaniu nierozważnych.

Cykliści Warszawscy zachęceni widocznie przykładem wyścigów konnych, urządzają ścigania się na dłuższe mety już kilko milowe, nawet i dalsze, a angielscy nabrali przekonania, że jakkolwiek w krótkich parowiorstowych gonitwach koń wyścigowy daleko za sobą cyklistę zostawi, to w długich koń nigdy nie dorówna welocypedowi zręcznie i umiejętnie prowadzonemu.

Mają też urządzić stałe wyścigi a nawet możność prowadzenia hazardownych zakładów pod nazwą Totalizatora, który niczem innem nie jest tylko... warszawskiem Monaco.

Cyrk arystokratów. Dobroczynność publiczna, która tak absorbuje pomysłowość aranżerów wszelkich zabaw, natchnęła ich, w Paryżu nowym środkiem podniecenia ciekawości mieszkańców stolicy Francyi. Niebawem w paryzkim cyrku Monnier. urządzone ma być na cel dobroczynny akrobatyczne przedstawienie, w którem wykonawcami będą wyłącznie członkowie arystokracyi. Książęta wyprawiający ewolucye na trapezie i na nieosiodłanych koniach, hrabiowie i margrabiowie w charakterze *clownow* i przeróżni inni „dobrze urodzeni" panowie jako żonglerzy lub gimnastycy przedstawiać będą niewątpliwie oryginalny widok. Wszystkie krzesła i loże są już podobno rozchwytane na to przedstawienie na którem *high-life* paryzkie będzie chodził na głowie na korzyść potrzebujących pomocy.

Praca kobiet w Berlinie. Berliński *Volksblatt*, zastanawia się nad materyalną nędzą i moralnem upadkiem kobiet, żyjących z pracy rąk w Berlinie, co głównie przypisuje niedostatecznemu wynagrodzeniu za tęż pracę w skutek ogromnej konkurencyi. I tak, szwaczki szyjące fartuszki do magazynów zarabiają przy 11 — 15 godzinach pracy dziennej po 2 — 3 i pół marki tygodniowo; przy obrąbianiu dziurek pracują w dni powszednie 12 do 14 godzin, zaś w niedzielę po 4 do 5 godzin i zarabiają 2 — 5 marek tygodniowo. Przy szyciu rękawiczek zarabiają 6 marek, ubiorów dziecinnych 3 — 10 marek, przy fabrykacyi trykotów 8 marek, parasoli 6 — 7 marek tygodniowo. Za szycie tuzina krawatów biorą 1 markę 80 fenigów; czyli za jeden krawat wymagający dwóch godzin pracy 7 i pół feniga, z użyciem własnych nici. Szwaczki do bielizny, mankietów, kołnierzyków i t. p. zarabiają niekiedy 10 — 15 marek, większość jednak, pracując dniem i nocą, zaledwie 6 do 7 marek tygodniowo. Przytoczywszy powyższe cyfry dziennik dodaje: „A jednak wiele mówią i piszą o kwitnieniu przemysłu wywozowego Berlina, zwłaszcza w gałęzi konfekcyjnej; dzieje się to kosztem nieszczęśliwych robotnic. Naszem zdaniem byłoby prawdziwem błogosławieństwem, gdyby podobny przemysł upadł zupełnie, a tysiące młodych dziewcząt, które z różnych części kraju, szczególniej z prowincyi północnych napływają corocznie do Berlina, pozostały w swych rodzinnych wioskach i miasteczkach."

Jak każde powodzenie obudza zazdrość i chęć przekonania opinii, że takowe bez zasługi zostało zdobyte, dał nowy dowód korespondent paryzki jednej z gazet tutejszych, w której powiada:

Jednym z ludzi zwracających w obecnej chwili najbardziej uwagę publiczną na siebie w Paryżu,

jest niewątpliwie p. Pasteur. Pojmujemy w zupełności hołdy, jakie towarzyszyły wszędzie panu Lessepsowi po przekopaniu międzymorza Sueskiego, które Napoleon I szy ogłosił jako do przekopania niemożliwe. Rezultat był dotykalny; okręty, dążące na wody morza Indyjskiego miały nadal drogę o 1,500 mil krótszą; kształt ziemi został zmodyfikowany z korzyścią dla wszystkich, a jedno z najtrudniejszych zagadnień naukowych, rozwiązane.

Lecz trudno zaiste wytłomaczyć sobie szał, jaki ogarnął publiczność z przyczyny p. Pasteura, tak jak gdyby odkrył sposób przedłużenia życia ludzkiego o jakie 500 lat. Możnaby ten stan rzeczy nazwać *delirium pastorien*...

Gdyby nawet pan Pasteur w istocie wyleczał z wścieklizny, to jest z najrzadszej z licznych chorób trapiących nasz rodzaj, niezaprzeczoną śmiesznością byłoby przyznawać w ten sposób wyższość jego środków leczniczych ponad wszystkiemi innemi. Gdy zaś pomyśli się, że od dnia, w którym p. Pasteur środek swój zastosował po raz pierwszy, umarło z przyczyny pokąsania przez wściekłych psów i wilków przynajmniej tyleż osób co i przed ukazaniem się tego podejrzanego mesyasza, należy doprawdy przyznać, że łatwowierność ludzka jest niewyczerpana.

Wysoce komicznemi wydają nam się drwiny, jakiemi Paryżanie prześladowali młodego króla bawarskiego z powodu jego uwielbienia dla Wagnera i dzieł jego. Zamki, które mu wznosić kazał były dla Paryżan urojeniami iluminata. Dziśaj król bawarski mógłby im odpowiedzieć, że Wagner dostarczał mu przynajmniej przyjemności artystycznych, które oni podzielali i podzielają jeszcze w pewnej mierze, skoro „Tannhäuser" i wyjątki z innych jego oper grywane są dzisiaj na wszystkich prawie koncertach. Ale co wydadzą w przyszłości 700,000 przeszło franków, zebranych na instytut Pasteura? Kwestya ta ważna przecież nie została nawet jeszcze rozstrzygnięta.

Tomy całe pisano o szczurze z trąbą, a w końcu wykazało się, że ów szczur był prostym kaleką, z przyrośniętym do pyska a obciętym poprzednio i zaszczepionym przez jakiegoś krotofilnego żuawa, ogonem. Nie będziemy oskarżali pana Pasteura, że zechce żarty posunąć tak daleko, lecz instynktownie niedowierzamy odkryciom, które niemając jeszcze nawet poważnego oparcia, żądają już kapitałów."

Zjadliwa ta szykana działalności pana Pasteura, kogóż nie oburzy? Wszakże o ile wiadomo, wynalazek swój z wielkim mozołem i niebezpieczeństwem zdobyty, poświęca w zastosowaniu dla biedaków zagrożonych najstraszliwszą chorobą, zupełnie bezinteresownie. Skutki pomyślne z metody jego leczenia są ogłaszane publiczne, jeżeli więc są fałszywe, dlaczegóż korespondent nie dowiódł tego niezbitemi faktami? Zbieranie zaś pieniędzy nie odbywa się przecież na korzyść pana Pasteura, ale na instytut, którego brak w Paryżu coraz więcej czuć się daje, a z którego korzystać ma świat cały jak to się już dzieje obecnie. Smutna to sprawa i podniosłem ją z niemałą przykrością.

Wesele prezydenta Clevelanda odbyło się w dniu 2-gim b. m. w Waszyngtonie. Zaproszeni, w liczbie 28, składali się z najbliższych krewnych państwa młodych oraz ministrów z małżonkami. Błękitna sala, w której ślub został zawarty, przystrojona była wspaniale kwiatami, ze wszystkich stron świata pochodzącemi. Panna młoda miała tualetę żółtą atłasową, przybraną muślinem indyjskim. Państwo prezydentostwo otrzymało bardzo liczną ilość podarunków ślubnych, które na żądanie pana młodego, wbrew zwyczajowi nie zostały wystawione na widok publiczny. Pan prezydent ofiarował narzeczonej swojej wspaniały naszyjnik z brylantów. Po spożytej wraz z gośćmi kolacyi, państwo młodzi, śród gradu z ryżu, jakim stosownie do angielskiego i amerykańskiego obyczaju obsypywali ich żegnający przyjaciele, udali się w podróż poślubną do Deer Park w Maryland, gdzie zabawią przez tydzień. Ze wszystkich stron kraju, a również od kilku władzców europejskich otrzymali nowożeńcy mnóstwo depesz z powinszowaniem. Depesza królowej Wiktoryi z Balmoralu brzmi jak następuje: „Proszę, przyjmij pan ode mnie najserdeczniejsze powinszowania w dniu ślubu i najszczersze życzenia szczęścia. *Wiktorya.*" Prezydent Cleveland kończy już 50-ty rok życia i podobnie jak młoda małżonka jego, nie posiada żadnego majątku prywatnego, lecz tylko pensyę w sumie 50,000 dollarów rocznie z której korzystać będzie do dnia 4-go Marca roku 1889, godziny 12 w południe punktualnie.

New-York. *New-York Herald* zamieszcza ciekawe szczegóły o cywilizacyjnym postępie rasy murzyńskiej w Stanach południowych Unii. Tak np. w Stanie Georgii kolorowi posiadali w r. z. przeszło 700,000 akrów ziemi i płacili podatki od majątku ocenionego na 10,000,000 dollarów, gdy w roku 1880 posiadali zaledwie połowę przestrzeni i płacili podatki od 5,500,000 doll. Zatem w ciągu ostatnich pięciu lat dawni niewolnicy nagromadzili prawie tyle majątku, co w poprzednich 15 latach po bezpośrednim ich oswobodzeniu. Na głowę ludności kolorowej przypada przeciętnie 10 akrów ziemi i 100 dollarów majątku ruchomego. Robotnicy kolorowi pracują pilnie, są stosunkowo o wiele zamożniejsi od robotników białych, zwłaszcza przybyłych do Ameryki z za morza. Również wzrasta pośród nich moralność i oświata; kradzieże zdarzają się coraz rzadziej i są surowo karane, a wszyscy pilnują solidarnie porządku i poszanowania prawa. Po odczytaniu wyroku, skazującego anarchistę Most'a na 1 rok więzienia i 500 dollarów grzywien, sędzia odezwał się do niego: „Bardzo żałuję, że prawo nie pozwala mi naznaczyć surowszej kary. Podżegałeś pan do mordów, pożogi i trucia i to cudzoziemców nieznających naszych praw. Ogłosiłeś książkę, w której uczysz sługi żeńskie, jak mają przyrządzać truciznę na swych chlebodawców. Na całym świecie nie ma większego łotra etc." Słuchając tej przemowy Most bladł i rumienił się z gniewu, a wychodząc z sali sądowej zawołał: „I to nazywa się sprawiedliwość!"

Żywe chrząszcze jako broszki damskie. Znana ze swych gościnnych występów na scenach wielu miast Europy i Ameryki paryzka aktorka, panna Anna Judic, która tylko co z Ameryki do Paryża powróciła, przywiodła z sobą z kraju Yankesów osobliwszą modę dla dam. Między licznemi podarkami jakie artystka od zwolenników jej talentu otrzymała znajduje się żywy chrząszcz, błyszczący świetnemi kolorami i który za pomocą misternie urządzonego aparaciku używa się jako broszka damska.

Stworzonko to karmi się wodą ocukrzoną a może przez parę dni obejść się bez pożywienia.

Ponieważ meksykańska ta moda została przez przyjaciółki panny Judic przyjęta gorącym poklaskiem, może być, że wkrótce handel chrząszczami między Meksykiem a Francyą rozwinie się na wielką skalę.

Z dziedziny humorystycznej.

Niedarmo ojcowie nasi mawiali, że czapką, szkapką i papką, chlebem, solą i rolą, ludzie ludzi niewolą. Świeży tego dowód mieliśmy na bardzo zwyczajnym fakcie, których setki spełniło się i spełnia bez najmniejszej wzmianki publicznej, gdy tymczasem jeden z nich sutym poparty bankietem, wszystkie niemal poruszył gazety do wytrąbienia chwały amfitryona, co papką i napitkiem gościł grono życzliwych przez pół doby aż do szóstej rano.

Rzecz dotyczyła najzwyczajniejszej altany, werendy, czy wystawki, znajdujących się dziś prawie we wszystkich bawaryach ogródkowych i cukierniach. O wznoszeniu ich ciągle ponawianem lecz nie popartem choćby kufelkiem piwa lub wreszcie filiżaneczką czarnej kawy, czasami ledwie bąknie jaki zbyt wielomówny reptorem i to w kuryerkach zwanych pismami brukowemi. Tymczasem pan Stępkowski, wystawił nic więcej tylko także altanę w podwórzu domu w którym mieści się handel jego win i delikatesów, ale otwarcie jej urządził z uroczystym poczęstunkiem, z wykwintem i znakomitą gościnnością, z okrzykami i wiwatami, z mowami i improwizacyami i zaraz kolumny gazet zaroiły się sążnistemi opisami cudu gastronomicznego, co proste zaśmiecione podwórze przemienił w oazę wszelkich podniebiennych zachwytów z kuchni i piwnicy biorących natchnienie. Zaiste rzecz to godna naszej dziedziny humorystycznej.

* * *

Jedno z pism podało wiadomość o mającem się znów urządzić nowym jednodniowym spisie ludności w Warszawie, drugie zaprzeczyło temu, a trzecie ale już francuzkie, ogłosiło następującą rozmowę między delegatem do spisu ludności a lokatorem.

Delegat wchodzi.

— Czego pan sobie życzy? — pyta lokator.

— Chciałbym wiedzieć czy państwo sami zajmują to mieszkanie?

— A panu co do tego?

— Jestem delegatem do spisu ludności...

— A to sobie ją pan spisuj, a mnie daj święty spokój.

— Pańskie nazwisko? — pyta delegat z westchnieniem, wzruszając ramionami.

— Delorme.

— A ta pani?

— To moja żona, pobraliśmy się wczoraj.

— A to winszuję państwu...

— Wielce obowiązany.

— Jaki wiek pański?

— Lat trzydzieści, ale do czego to?

— A pani?

— Lat dwadzieścia, nie pojmuję jednak...

— Jakie wykształcenie naukowe?

— Mój panie, przed panem egzaminu składać nie będę.

— Tu nie idzie o egzamin tylko...

— Dość tego, mój panie — odpowiada z żywością lokator i starając się zapanować nad swem niezadowoleniem, mówi dalej z coraz większą niecierpliwo-

ścią: — jaki mam rozum z takim pozostanę a od pana z pewnością nabywać go nie myślę.

— Ależ mój panie...

— No, no, dajmy lepiej temu pokój — przerywa lokator i sapiąc przechadza się po pokoju. Delegat znowu wzrusza ramionami i po chwili pyta:

— A wiele macie państwo dzieci?

— My, dzieci, wczoraj pobrani? — zapytuje już z uniesieniem lokator, o mój panie tego już zanadto, to...

— To zwykła formuła...

— Formuła! — wykrzykuje lokator z najwyższem uniesieniem; a ty bezczelny impertynencie wynoś mi się bo cię razem z formułą za drzwi wyrzucę.

— A to moje uszanowanie, uniżony sługa — odpowiada delegat i wybiega z mieszkania z pośpiechem oglądając się bojaźliwie za siebie.

* * *

Ameryka slynie z reklam z ekscentrycznością prawdziwie zdumiewającą. Niedawno w jednym z amerykańskich dziennników pomieszczono następujący nekrolog:

„Niniejszem donoszę wszystkim moim przyjacielom i znajomym, że wczoraj małżonka moja zamknęła na zawsze powieki w chwili obdarzenia mnie dzielnym potomkiem płci męzkiej.

Zanim więc znajdę miłą towarzyszkę życia, dla tego noworodka poszukuję zdrowej i silnej karmicielki, któraby zechciała przez pewien czas zająć się moim renomowanym zakładem bielizny, uskuteczniającym po cenie najprzystępniejszej w ciągu pół doby wszelkie zamówienia choćby najbardziej wymagające. Do niego także, po ukończeniu odbywającej się obecnie wyprzedaży, poszukuje zdolnej dyrektorki z pensyą 200 dolarów, zwłaszcza gdy zakład mój przeniesiony zostanie pod numer 11, gdzie jeszcze mam do odnajęcia mieszkanie za 500 dolarów rocznie."

* * *

W Lipsku jakiś optyk zrobił w pismach tamtejszych następujące ogłoszenie:

„Mam zaszczyt donieść szanownej publiczności, iż wyrabiane przeze mnie teleskopy, zbliżają oddaloną o pół mili muchę z taką dokładnością, że słyszy się nawet brzęczenie jej skrzydeł i widzi wąsy jakie zuchowato pokręca dotąd jeszcze przez naturalistów niedostrzeżone.

* * *

Używając stylu warszawskiej cyganeryi, był sobie taki jeden Facet zwany Kajtusiem, z głową do pozłoty, którego serce gorzało płomieniem ognistej miłości. Ale na nieszczęście był przytem tak nieśmiały, że gdy spojrzał na swą bohdankę spuszczał oczy jak szesnastoletni podlotek pierwszy raz w długą ubrany sukienkę.

Zdala od niej tęsknił i wzdychał jak parowóz mający w drogę wyruszyć; tuż przy niej tracił przytomność, język mu kołowaciał, krtań kurczyła a jeżeli czasem zdobył się na przeprowadzenie urywkowej rozmowy, to do oświadczenia swych uczuć i pragnień pomimo najszczerszej chęci nie miał odwagi.

Gdy raz w gronie młodzieży żartowano z niego z tego powodu, któryś z niej zawołał:

— Kajtusiu, rzuć się na kolana z wyznaniem miłosnem przez telefon, a już raz skończysz męki grożące ci zadławieniem.

Radę przyjęto z oklaskiem, posypały się żarty, zaczęto układać formułę oświadczyn, Kajtuś milczał, uśmiechał się, wreszcie zwabiony do telefonu, gdy usłyszał głos ukochanej podstępem także sprowadzonej do niego, w pierwszej chwili chciał czmychnąć gdzie pieprz nie rośnie, ale go przytrzymano i zmuszono do wygłoszenia uczuć swoich.

Panna nic nie odrzekła i dopiero po chwili na natarczywe żądanie odpowiedzi brat jej wygłosił uroczyście, że ani z osłem, ani z jego posłem, siostra nie chce mieć nic do czynienia.

Kajtuś zerwał się jak lew raniony, ścisnął pięści, zarumienił się, poprzysiągł zemstę i rzeczywiście zemścił się, bo potargał okowy nieśmiałości i tak zręcznie zaszturmował do serduszka panienki, iż ta przekonawszy się, że wcale nie jest osłem... przyjęła oświadczyny chętnie ale już nie przez telefon dopełnione.

Gdy najmłodsza jej siostra zapytała ojca, co to jest telefon? — ten odrzekł:

— Telefon, moje dziecko, to jest taki przyrząd, że jak mu co powiesz, to zaraz to wiedzą o mil kilka.

— Aha! — zawołała dziewczynka — to panna Brygida jest telefon, bo wczoraj mówił ojciec, że jak jej co powiedzieć to zaraz cała okolica wie o tem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce wierszyków p. t. Złudzenie — Oda do książki.— Do papierosa. To nie są poetyczne utwory: brak w nich zachowania wszelkich warunków teoryą wskazanych, bez czego nie porządnie napisanem nie będzie. Z zasadami temi bliżej zaznajomić się koniecznie należy, a przytem poznać utwory naszych wielkich poetów i prozaików, z czego zawsze wielka się korzyść uzyska bo rozjaśnienie myśli i głębszy na wszystko pogląd.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 15. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

Przeglądu Pedagogicznego

Nr 9 wyszedł z druku i zawiera:

1. Jak zaszczepić miłość dzieci ku Rodzicom i rodzeństwu przez Henryka Wernica. — 2. Czytanie domowe młodzieży, przez Floryana Łagowskiego. — 3. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida. — 4. Dwie lekcye składni łacińskiej. O zdaniach ubocznych ze spójnikiem cum, przez S. W. — 5. Korespondencya z Krakowa. — 6. Krytyka i bibliografia: a) Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 4 tomach, obejmujące powieści, poezye, podróże, literaturę i rozmaitości, przez Seweryne z Żochowskich Pruszakową (Duchińską). b) Przegląd literatury zagranicznej. 7. Odpowiedź E. S. Swieżawskiego p. E. Bogusławskiemu na jego recenzyą „Rozmów o dawnych dziejach". Dodatek: Zadania na ułamki S. Dicksteina.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 25 wyszedł z druku i zawiera:

Potsztyn i jego okolice (z drzeworytem). — Kwiat i owoce (wiersz). — Książę i biedak.—Ren (z drzeworytem). — Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Przygody Loli. — Nieposłuszna Felcia (wiersz).—Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworytem). — Dobre dziecię (wiersz). — Tuno i Benia. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Іюня 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

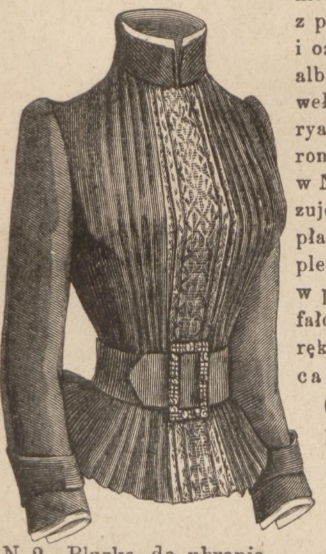
Dodatek.

Opis do N-ru 25.

(*Dokończenie.*)

N. 22. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 12 w N-rze 24.

Ładny płaszczyk może być uszyty z piki lub batystu i ozdobiony haftem, albo też z cienkiego wełnianego materyału z wełnianą koronką. Rycina 12 w N-rze 24 wskazuje wymiar kroju płaszczyka którego plecy b złożone są w podwójną kontrafałdę a pelerynowe rękawy zwierzchnie całe zaplisowane (patrz litera c) przyszyte są na płaszczyku od gwiazdki, przez krzyżyk do dwukropka. Szarfa biała lub kolorowa; kapotka z marszczonej materyi przybrana piórami.



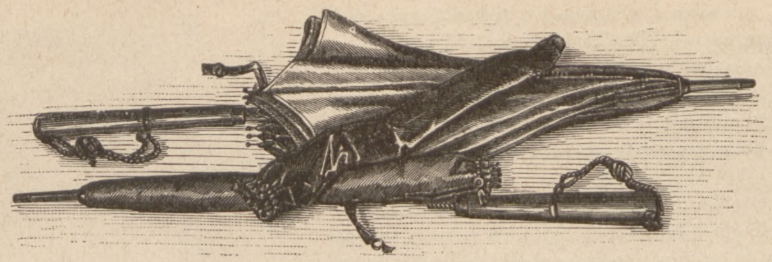
N. 2. Bluzka do ubrania podróżnego. Patrz ryc. 3.

N. 23 i 42. Okrycie z szalowemi końcami.

Strojne, w wytwornym guście okrycie przedstawione na r. 23, odrobione jest z czarnego koronkowego materyału i z niebieskawo popielatego aksamitu, haftowanego kolorowo. Osoba znająca się na kroju potrzebuje dopasować formę podług wymiaru danego na ryc. 42 i zastosować ją do figury. Wązkie kliny idące od przodów, zastępują boczki i schodzą się z sobą z tyłu pod pleckami. Rękaw złożony z części zwierzchniej i spodniej, wskazanych na literze c przyszywa się od gwiazdki, przez krzyżyk do dwukropka. Części aksamitne naszyte są wzdłuż pleców i przodów podług linii widocznej na ryc. 42 i podług ryc. 23 kończą się z tyłu w pukle. Brzegi okrycia w około oszyte są koronką.

N. 24. Suknia z paletocikiem.

Bast jedwabny gładki i deseniowy, stanowiący modną nowość sezonu, użyty jest na suknię spacerową z sutą draperyą i gładkim stanikiem z baskiną; do wyjścia na ulicę włożony paletocik zdobny pasami kolorowemi przerabianemi złotem. Przody otwarte w górze mają bufę koronkową. Kapelusz okrągły z żółtej słomki, ma rondo podszyte koronką i przybrany jest niezapominajkami przyczepianemi do wstążki; z boku główki bukiet niezapominajek przypięty kokardą.



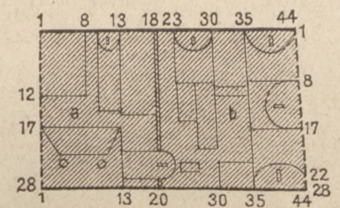
N. 1. Parasolik podróżny.



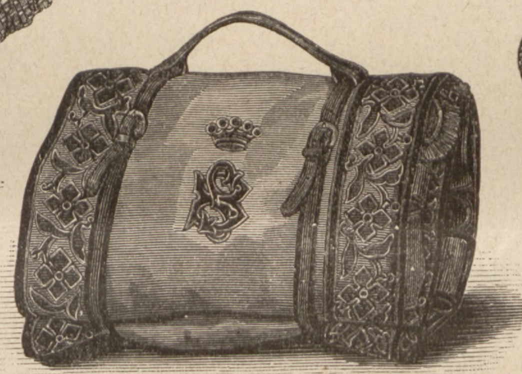
N. 4—8. Kapelusze słomkowe i czapeczka.



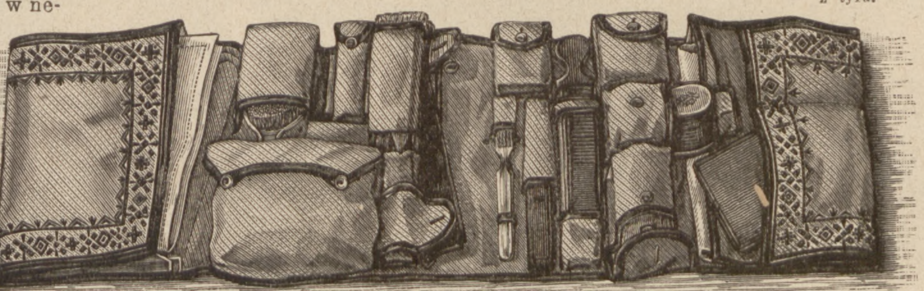
N. 10. Bucik podróżny.



N. 13. Podział kieszonek w neseserze podróżnym r. 12—24.



N. 12. Neseser podróżny męzki. Patrz ryc. 13—14 tudzież ryc. 14 w N-rze 24.



N. 14. Neseser podróżny otwarty; patrz ryc. 12—13.

N. 25. Suknia ze stanikiem z baskiną.

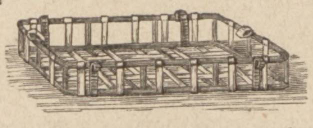
Odrobiona z grenadyny gładkiej i w pasy, ma spódnicę w pasy przysłoniętą fartuszkową draperyą z gładkiej grenadyny z przodu otwartą, z tyłu suto podpiętą w bufy. W staniku tylko środek przodów i pleców dany jest z gładkiej grenadyny, reszta z grenadyny w pasy przymarszczonej na ramionach, a u dołu pleców złożonej w sute karoczko.



N. 3. Bluzka do ubrania podróżnego. Patrz ryc. 2.

N. 26. Ubranie spacerowe z pelerynowem okryciem. Patrz ryc. 15 w N-rze 24.

Oryginalna spódnica z przodu złożona jest w szeroką kontrafałdę, z boków i z tyłu zaplisowana w płaskie fałdy, a w górze na biodrach podpięta z każdego boku czterema kokardami z wstążki. Pelerynowe okrycie z piaskowego sukienka zdobne pasmanteryą z bronzowych perełek, kraje się podług wymiaru wskazanego na ryc. 15 w N-rze 24. Przód *a* przymarszcza się na ramionach, podwija pod spód u dołu i łączy z plecami tylko do gwiazdki. Plecy przyszyte są do paska perełek zapiętego pod przodami okrycia.



N. 9. Szuflada wkładana do kosza podróżnego ryc. 19.



N. 11. Pled podróżny zapięty w paski.



N. 15. Suknia ryc. 27 przedstawiona z tyłu.

N. 27 i 15. Ubranie strojne spacerowe.

Na spódnicy jedwabnej podszewkowej upięty jest z przodu bryt koronkowy suto marszczony, z boków otoczony klinami z pekinu; z tegoż materyału dane tylne bryty sukni ułożone w fałdy à la paysanne, podług ryc. 15. Stanik krótki bawełtowy przybrany wzdłuż przodów żabotem koronkowym, naszytym równie jak bryt przedni grelotkami z perełek. Kapelusz ażurowy ze słomki i włosia ma rondo podszyte aksamitem; kokarda z wstążki z pikotami.

N. 28. Suknia z aksamitu i materyi.

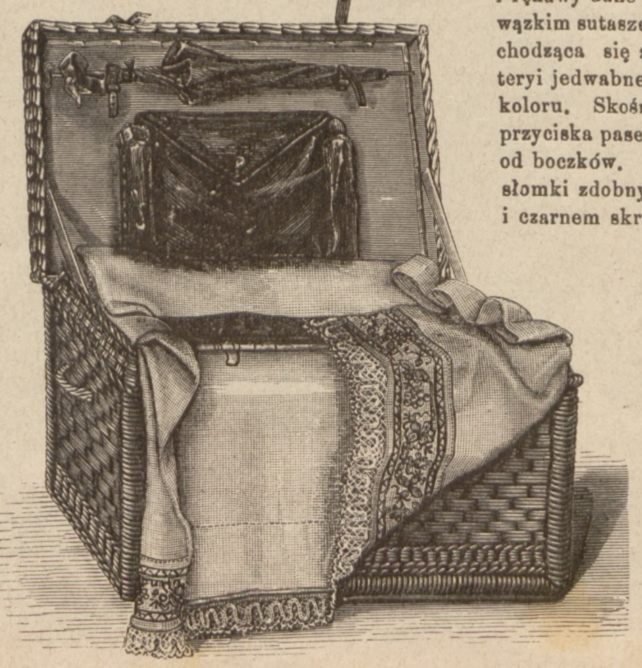
Spódnica, stanik hiszpański i rękawy dane z ciemno zielonego aksamitu w rzucik, wyszytego wązkim sutaszem, zaś fałdowane przody stanika i tunika rozchodząca się z przodu są z materyi jedwabnej tego co aksamit koloru. Skośno zapięte przody przyciska pasek fałdowany dany od boczków. Kapelusz z żółtej słomki zdobny takiemiż piórami i czarnem skrzydłem.



N. 16. Deseń do ryc. 3—4 w N-rze 24.



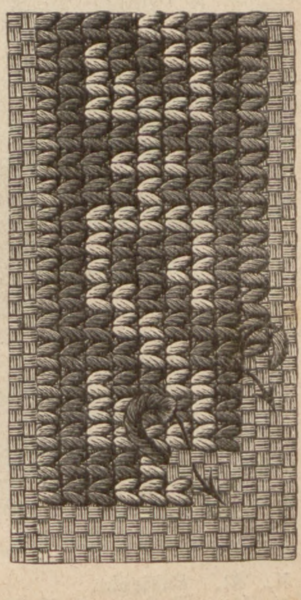
N. 17. Plecy do ryc. 34 w N-rze 24.



N. 19. Kosz podróżny z prześcieradłem. Patrz ryc. 9.



N. 18. Plecy do r. 1. w N-rze 24.



N. 20. Wyszycie ściegiem tureckim, do ryc. 19 w N-rze 24

N. 29 i 34. Suknia z tuniką.

Odrobiona z materyi jedwabnej mienionej ponsowo z zielonem i z żółtawej gazy wełnianej z wrobionemi fabrycznie pasami koronkowej wszywki. Tunika lekko nafałdowana z boków ma z jednej strony dodane małe panier; stanik jedwabny pokryty gazą ma oryginalne przybranie w kształcie bretelek danych z przodu i z tyłu, z których jedna jest koronkowa druga jedwabna. Rękawy z gazy i materyi zakończone kokardami; albo przybrane podług ryc. 34. Kapelusz okrągły ma rondko podniesione wysoko z boków, podszyte aksamitem; główka opasana gazą, z boku skrzydełka i piórka.

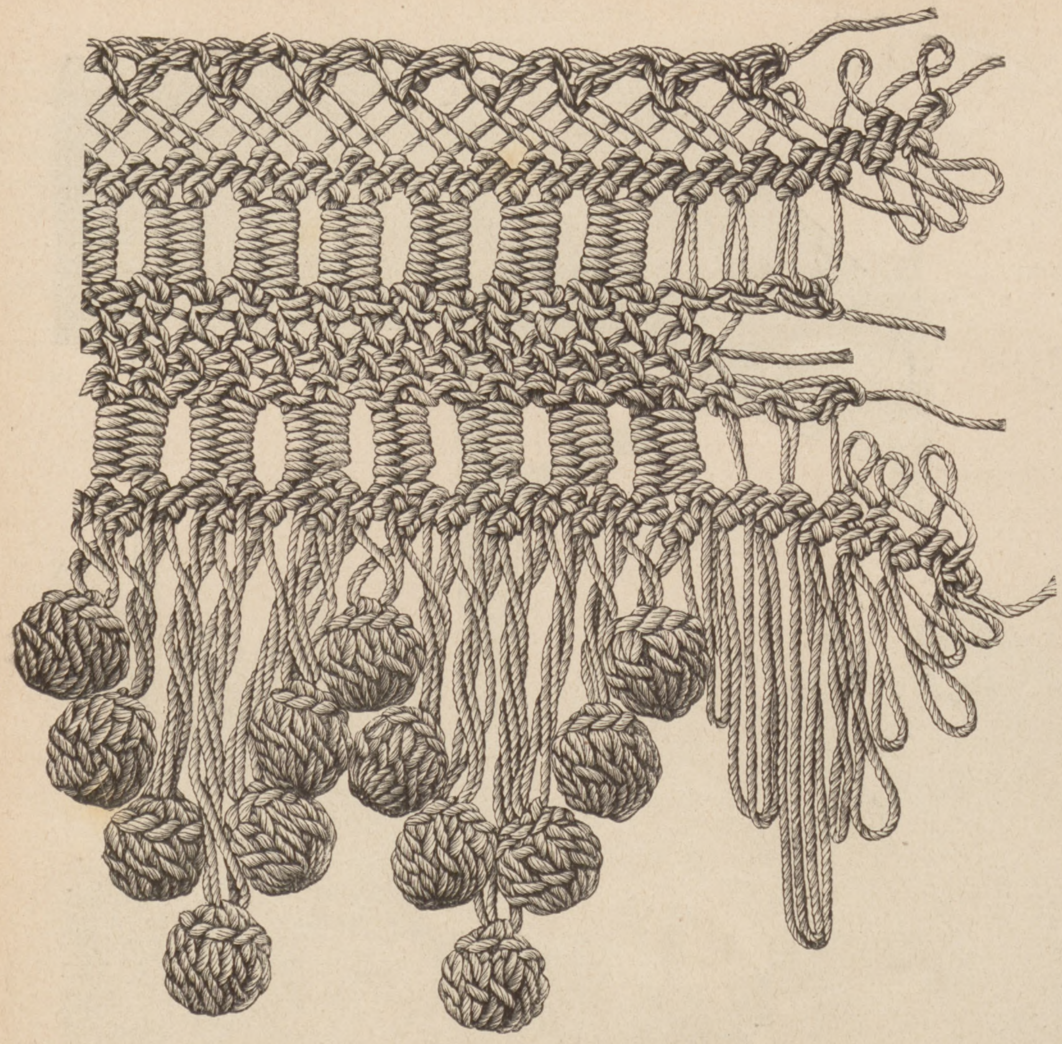
N. 30. Suknia ze stanikiem sfałdowanemi przodami. Patrz ryc. 16 w N-rze 24.

Na rycinie 16 w N-rze 24 daliśmy wymiar kroju fałdowanych przodów stanika, na ramionach i na gorsie fałdują się podług znaczków, a w środku tworzą rodzaj kamizelki, ściętej spiczasto do dołu; te części dane z atłasu w pasy schodzą się z materyałem gładkim, w którym dana druga zaszewka. Spódnica i stanik z cienkiego wełnianego materyału, granatowego koloru, draperya i fałdowane przody z atłasu granatowego w żółte pasy.



Ubrania spacerowe.

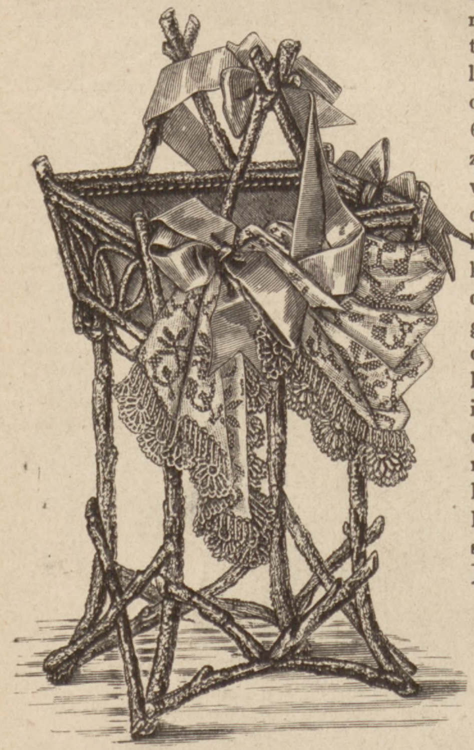
N. 21. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. N. 22. Płaszczyk z pelerynką. Patrz r. 12 w N. 24. N. 23. Okrycie z szalowemi końcami; patrz ryc. 42. N. 24. Suknia z paletocikowym stanikiem. N. 25. Suknia ze stanikiem z baskiną. N. 26. Suknia z pelerynowem okryciem. Patrz ryc. 15 w N. 24. N. 27. Ubranie strojne spacerowe. N. 28. Suknia z aksamitu i materyi. N. 29. Suknia z tuniką patrz rękaw ryc. 34. N. 30. Suknia ze stanikiem z fałdowanemi przodami. Patrz ryc. 16 w N-rze 24.



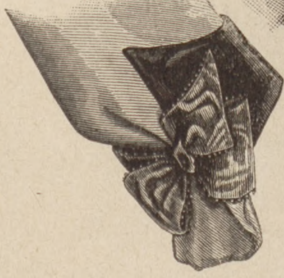
N. 31. Frendzla z torsadki na widełkach zakończona grelolotkami. Patrz r. 35. w N. 24.

N. 31. Frendzla z torsadki na widełkach. Patrz ryc. 35 w N-rze 24.

Odrobiona z krętej bawełny D. M. C. N. 15, składa się z pasów torsadki na widełkach łączonych robotą szydełkową, w której strona lewa jako wybitniejsza obrócona jest na prawą. Jak to widzimy na rycinie 31 torsadka jest dwojaka, górna ma równe pentelki z obu stron, niższy zaś pas torsadki ma u dołu pentelki stopniowej długości, formujące zęby zakończone kulkami szydełkowemi. W górnym brzegu frendzli pentelki torsadki co trzecia krzyżują się z sobą i po dwie razem złączone są 1 o. śc. przedzielanem 1 o. pow., drugi brzeg torsadki obrabia się o. śc. zajmowanemi kolejno w każdą pentelkę. W drugim dolnym rzędzie torsadki pentelki górne także obrobione są jednym rzędem o. szydełkowych; dolne pentelki tworzące zęby, są po dwie razem lekko skręcone i zakończone kulką szydełkową. Każda kulka zaczyna się od 6 o. pow. złączonych w kółko, w które zajmuje się pod. sł., pod ryc. 35 w N-rze 24; następnie odcina się nitkę od kłębka zostawiając tylko kawałek potrzebny do przewleczenia przez górne o. słupków, kładzie w środku wypukły drewniany guziczek i ściąga nitkę tak aby oczka skupiły się jak najściślej. Dodany tylko że dwa pasy torsadki już obrobionej łączą się z sobą rzędem o. śc.



N. 37. Kosz do robót.



N. 34. Rękaw do sukni r. 29.

N. 32. Krzesło ogrodowe.

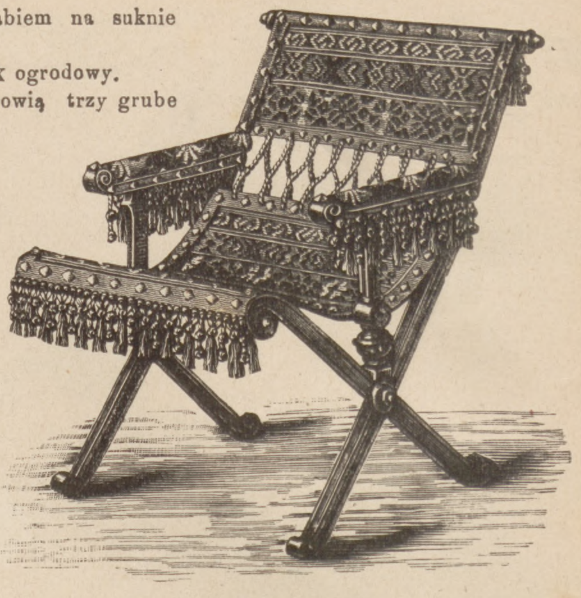
Odrobione z drzewa politurowanego lub bejcowanego ma siedzenie i poręcze dane z roboty gobelinowej, którą opisywaliśmy szczegółowo w N-rze 24, a którą zastąpić można haftem, robotą krzyżową lub t. p. Pas na poręczy tylnej i pokrycie siedzenia łączą się z sobą sznurowaniem z cienkiego rzemyka, przedni brzeg krzesła i poręcze boczne ozdobione frendzlą.

N. 33. Kapelusz ogrodowy.

Rycina 33 przedstawia kapelusz ogrodowy lub do przechadzki pijąc wody, mający główkę 18 cent. wysoką a rondko oddzielnie wykończone i zeszyte w ten sposób, iż z jednego boku zachodzi na siebie podwójnie. Gerlanda z kwiatów i bukiecik z boku główki przypina się podług ryc. 33.

N. 35 i 40. Sukienka dla chłopczyka lat 1—3.

Długi paletocikowy staniczek z gładkim z boku zapinanym plastronem dopasowywa się podług wymiaru wskazanego na ryc. 40; pod literą d dajemy połowę części spódniczkowej, złożonej w kontrafałdy i przyszytej pod staniczkiem. Rycina 35 przedstawia sukienkę z cienkiego popielatego sukna, z szerokiemi wypustkami, kołnierzem i fałdowaniem z ponsowego sukna. Dwa szerokie pasy haftu i szlak przy rękawkach odrobione kolorową włóczką i jedwabiem na suknie popielatem.



N. 32. Krzesło ogrodowe.

N. 36. Stoliczek ogrodowy.

Podstawę i nóżki stanowią trzy grube drewniane pręty krzyżujące się z sobą, na których wspiera się u góry blat robotą koszykową mający 50 c. średnicy, w środku na skrzyżowaniu trzy mniejsze blaciki po 28 cent. średnicy, czwarty dolny blat stanowi podstawę, pomieszczoną między prętami. Frendzla dana przy górnych blacikach może być odrobiona podług ryc. 31. Pompony kolorowe włóczkowe.

N. 37. Kosz do robót.

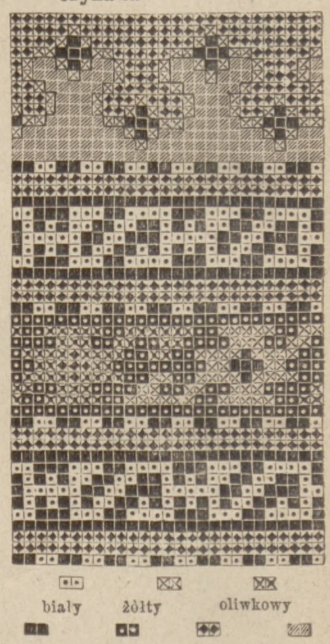
Odpowiedni do altany ogrodowej, pleciony wraz z postumentem z wierzbiny pomalowanej na bronz liczy 88 cent. wysokości; dno koszyczka jest 38 cent. długie, 28 szerokie i wraz z bokami wysłane kolorowym kretonem. Oryginalne przyozdobienie stanowi draperya przypięta kokardami, ułożona z kawałka płótna 86 cent. długiego, 58 szerokiego, zakończona z dwóch stron koronką i wyszyta w deseń ciągniony ściegiem krzyżykowym.



N. 33. Kapelusz ogrodowy.

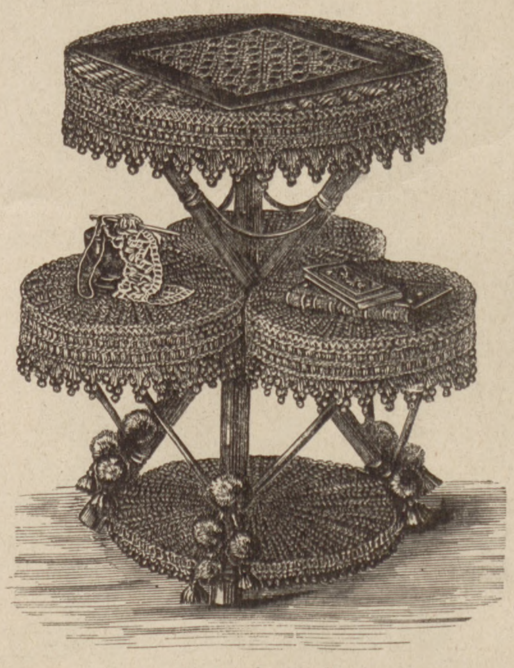


N. 35. Ubranie dla chłopczyka lat 1—3. Patrz r. 40.

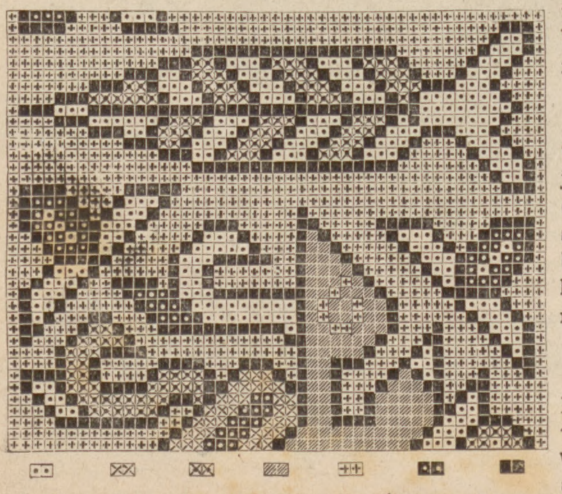


biały żółty oliwkowy czarny śliw. pons. bl. nieb.

N. 39. Deseń do ryc. 19 w N. 24

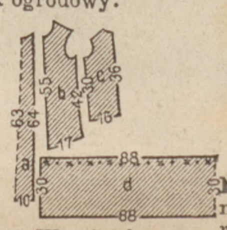


N. 36. Stoliczek ogrodowy.



biały żółty oliw. blado-nieb. pons. śliwkowy czarny.

N. 38. Część deseniu do ryc. 19 w N-rze 24.



N. 40. Wymiar kroju do ryc. 35.



N. 41. Wymiar kroju do r. 18 w N. 24.



N. 42. Wymiar kroju szalowej mantylki ryc. 23.



Pl. 650.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.